

## **„Przekażcie młodym pokoleniom przeżycia dzieci z sierocińców Afryki...”**

**Pani Aniela Lasek z domu Mikurenda urodziła się w Nowogródku. Jako dziecko została wywieziona do Kazachstanu, po długiej tułaczkiej podróży przez Pahlevi Teheran, Achwaz, Karaczi i Bombaj dotarła do Afryki, gdzie przebywała przez sześć lat. W 1948 roku wraz z innymi Polakami przybyła do Wielkiej Brytanii. Podjęła pracę i założyła rodzinę. W 1968 roku wraz z mężem i dziećmi wyjechała do Kanady, gdzie mieszka do dziś.**

Nazywam się Aniela Lasek, urodziłam się w 1930 roku w Nowogródku. W dzieciństwie nazywałam się Mikurenda. Moimi rodzicami byli Jakub Mikurenda i Longina z domu Ogonowska. Rodzice pobrali się po powrocie z Rosji po I wojnie światowej. Mieszkaliśmy na Kresach blisko Nowogródka w Dworcu, w miasteczku, gdzie tato był komendantem posterunku policji i tam dostał służbowe mieszkanie. Niewiele pamiętam z najmłodszych lat dzieciństwa. Najbardziej utkwiło mi w pamięci przeżycie śmierci mamy. Kiedy miałam sześć lat, mama zachorowała i tato odwiózł ją do szpitala w Wilnie, skąd już do nas nie wróciła. 12 maja 1936 roku, w pierwszą rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego, moja mama zmarła. Miała wówczas 29 lat. Została pochowana na Rossie w Wilnie. Tato został z trojgiem dzieci. Miałam starszego brata Alfreda młodszą siostrę Teresę. Przed rozpoczęciem II wojny światowej, tato ożenił się powtórnie.



Rodzina Mikurendów: Longina i Jakub z dziećmi

17 września 1939 roku dostał wezwanie, by wstawić się w Wilnie i spotkaliśmy się z nim ponownie dopiero w 1948 roku.

Mieliśmy nową matkę, macochę, z którą zostaliśmy do czasu, kiedy tato dostał rozkaz wstawienia się w Wilnie. Wybuch wojny był tragicznym momentem dla nas wszystkich. W zimie urodziło się dziecko z drugiego małżeństwa ojca, więc było nas już czworo. Zostaliśmy wyrzuceni z domu przez Rosjan, ale przyjęła nas rodzina macochy w Zdzięciole, pobliskim miasteczku w okolicach Baranowicz. W przeciągu około czterech miesięcy zostaliśmy wywiezieni do Kazachstanu.

#### **Jak zapamiętała Pani dzień wywózki i pobyt w Rosji?**

13 kwietnia 1940 roku, o godzinie 4 nad ranem, wyrwali nas ze snu żołnierze rosyjscy. Nad łóżkiem stanął ogromny żołnierz w wielkiej czapie na głowie, z dużym karabinem, na którym zatkany był wielki bagnet. Żołnierz krzychał

i wrywał nas z łóżek, a my, ze strachu, siusialiśmy w jego obecności. W ciągu 30 minut zostaliśmy załadowani na wozy czekające przed domem. Macocha stała z niemowlęciem na ręku, a my sami musieliśmy się ubrać. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka i co możemy ze sobą zabrać. Płakaliśmy bez przerwy. Żołnierze krzyčeli: „skorej uchodi”. Zawieźli nas do pociągu. To, w jakich warunkach odbywała się podróż, opisane zostało w wielu książkach i raportach. Dotarliśmy do Kazachstanu i zostaliśmy osiedleni w kołchozie Suchinowka, Obwód Noworosyjski. Przymusowa praca obejmowała wszystkich, nie wyłączając nas, małych dzieci. Macocha sprzątała szkoły. Brat Alfred, mający wówczas 12 lat, sadził drzewka, a ja, mająca 10 lat, na pałku nosiłam wodę z rzeki do podlewania sadzonek. Siedmioletnia siostra Teresa sortowała nasiona (siemieszki) bawełny. Ten okres również nie trwał długo. Macocha zdecydowała się oddać nas do rosyjskiego sierocińca (Died domu) w Aktiubińsku na Uralu. Kolejny raz, jako dzieci, nie nadążaliśmy, aby przyswoić sobie te wydarzenia oraz przeżycia emocjonalne. Mieliśmy ciągły lęk, co dalej będzie. Nie wiedzieliśmy co gorsze: nieustanny głód, choroby, czy też kolejny postój. W sierocińcu zostaliśmy rozdzieleni. Moja siostra Teresa zachorowała i musiała zostać w szpitalu. Brat Alfred, najstarszy z nas, został przeniesiony do innego sierocińca. Mając 10 lat, zostałam sama, bez ojczyzny, bez domu, bez rodziny, wśród obcych, bez mowy ojczystej, w nędzy i głodzie, z przeżyciami od czasu, kiedy tatuś ożenił się po raz drugi. Brak ojca bardzo zaważył w moim życiu i dziecięcej duszy. Wiedziałam, że tato bardzo nas kochał, a my jego. Nie wiedziałam, czy jeszcze kiedyś zobaczę tatusia, co się z nim dzieje, czy żyje i gdzie jest.

Początki w sierocińcu były znośne. Zaczęłam chodzić do szkoły, ale to znów trwało krótko. Zima z przełomu 1941/42 rojku była okropna. Doskwierał nam brak opału i straszny głód, było bardzo ciężko. Na polu zbieraliśmy zamrożone głąby z kapusty (kaczany), którymi się posilaliśmy. W pobliżu sierocińca były tory kolejowe i pociągi przewoziły makuch dla bydła. Napadaliśmy na pociągi i wykradaliśmy makuch, aby się nim żywić. Nie było opału, a ponieważ zimno bardzo nam dokuczało, paliliśmy więc wszystko, co dawało odrobinę ciepła, nie wyłączając krzesel czy też węgla, który zabieraliśmy z pociągu, gdy nadarzyła się okazja by go zdobyć. Walonki (buty), które dostałam ktoś ukradł, więc nogi owijałam papierem i szmatami, a na nie zakładałam dziurawe kalosze.

**Kiedy i w jaki sposób zakończyła Pani pobyt w rosyjskim sierocińcu? Jak wówczas potoczyły się dalsze losy?**

Jak wspomniałam, nasza mama została pochowana na wileńskiej Rossie. Dusza jej w niebie, wraz z Matką Bożą z Ostrej bramy, czuwała nad nami jak drapieżny

lew, by nas uchronić i ocalić. Nadszedł 1942 rok. Spotkałam się z bratem Alfredem, który przyjechał, aby mnie odwiedzić. Od niego dowiedziałam się, że siostrę Teresę ze szpitala odesłano do macochy w kołchozie. Po Amnestii zaczęły się tworzyć placówki Czerwonego Krzyża, szukano polskich dzieci w sierocińcach rosyjskich. Ponieważ byłam dzieckiem przebywającym w obcym środowisku, nie wiedziałam o tym. Znaleźli się jednak dobrzy ludzie, którzy interesowali się każdym Polakiem, który przebywał za granicą i na ile mogli, udzielali pomocy. I tak, nieznanymi ludźmi poinformowali mnie, bym poszła do Aktiubińska, gdzie otrzymam pomoc z polskiej placówki. Uciekłam z sierocińca i choć mówiłam już więcej po rosyjsku, dotarłam do tej placówki. Opowiedziałam tam o moim losie i mojego rodzeństwa. W taki oto sposób zostałam odnaleziona przez Polski Czerwony Krzyż. Powiedziano mi, że będę odtąd w polskim sierocińcu, ale ja wyjaśniłam, że mam siostrę. Ludzie z Czerwonego Krzyża powiedzieli, że nie są w stanie zorganizować mi pomocy, ale zaproponowali, bym na własną rękę pojechała i zabrała siostrę z kołchozu. Miałam wówczas jedenaście lat. Dostałam trochę pieniędzy w formie zapomogi i różowy koc, który ciągle pamiętam oraz trochę ryżu. Kołchoz, w którym przebywała siostra, oddalony był o ponad 100 kilometrów. Wyruszyłam w tę drogę, a dobrzy ludzie pomogli mi w tej nieznannej wędrówce. Po przybyciu do kołchozu powiedziałam, że chcę zabrać moją siostrę, Teresę, a Czerwony Krzyż pomoże nam dostać się do polskiego sierocińca w Janci-Julu. Macocha, do której siostra została odesłana po powrocie ze szpitala, wyraziła zgodę na wyjazd Teresy. Znowu, na własną rękę, pełne nadziei, wracaliśmy z siostrą do Aktiubińska, do polskiej placówki pod Uralem. Zatrzymywałyśmy samochody i prosiłyśmy by nas zabrano. Pamiętam, że podczas podróży siedziałyśmy na różowym kocu, który otrzymałam. Po dotarciu do celu, zgłosiłyśmy się do Czerwonego Krzyża. Tam zostałyśmy zaopatrzone w skromną żywność i pociągami wysłano nas do Taszkientu. Podróż trwała cztery dni. Polskie władze zostały powiadomione o naszym przyjeździe. Zmęczone chorobą i podróżą, dotarliśmy do celu. Po przyjęciu nas do obozu w brudnych i obdartych łachmanach. Po raz pierwszy miałyśmy możliwość skorzystania z łaźni parowej. Obcięto nam włosy i dostałyśmy tylko sarafanowe sukienki. Ubrania, w których przyjechałyśmy z Rosji, zostały spalone. Spałyśmy pod dachem, na matach i na piasku. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, mając poczucie bezpieczeństwa wśród swoich. Wszędzie rozbrzmiewał język polski i odczułyśmy braterską przyjaźń. Wreszcie miałyśmy godne warunki egzystencji i odzyskałyśmy poczucie godności. Mimo, że obozowe warunki były prymitywne, nie przerażały nas, byłyśmy do nich przyzwyczajone i zahartowane. Ważne było to, że mamy pełną opiekę pod polskim sztandarem. Przy jednostce wojska



polskiego w miejscowości Jangi-Jul powstawał polski sierociniec, do którego zostałyśmy przyjęte. Wojsko polskie, to bardzo się o nas troszczyło, zawsze stawiało sierociniec na pierwszym miejscu. Organizowane były szkoły polskie. O tatusiu i bracie nie miałyśmy żadnych wiadomości i z siostrą bardzo to przeżywałyśmy.



Siostry Aniel (z lewej strony) i Teresa



Aniela Mikurenda wśród koleżanek (druga z lewej strony).



Hufec harcerek. Aniela Mikurenda pierwsza z prawej strony w rzędzie osób stojących.



Kolejna wędrówka, tym razem przez Morze Kaspijskie, do Pahlevi Teheranu, Achwazu, Karaczi i Bombaju, a następnie do Afryki Tanganiki (Obecnie Tanzania). Był to jeden z większych obozów polskich. Tu zabezpieczono nas przed zawieruchą wojenną. Pierwsze nasze lekcje w afrykańskiej szkole odbywały się pod gołym niebem, nie mieliśmy ławek, tylko tabliczki i kredę. Każdy z nas miał osobisty stołeczek, na którym siedział. Kiedy wracaliśmy ze szkoły, zabieraliśmy go ze sobą. Początkowo mieszkaliśmy w okrągłych afrykańskich domkach, pokrytych liśćmi bananowymi. Później dla sierocińca wybudowano większe pomieszczenia. Byliśmy rozlokowani po 12 osób na sali i pośrodku było miejsce dla wychowawczynie. Do sierocińca należało 500 dzieci polskich. Warunki bytowe były prymitywne, ale dające możliwość pełnej egzystencji i wychowania. Klimat był ciężki dla wszystkich, ale zahartowaliśmy się. Po naszych przejściach w Rosji, szybko „dorośliśmy”, musieliśmy sobie radzić. To był nasz przysłowiowy raj na ziemi. Żyliśmy nadzieją, że Polska będzie kiedyś wolna. Dzięki naszym opiekunom i wychowawcom, wszyscy wyrosliśmy na wartościowych obywateli krajów, które obraliśmy za drugą ojczyznę, bo do własnej nie mieliśmy możliwości powrotu. Patriotyzm i miłość do Polski, do naszych tradycji i kultury, były z nami w codziennych zajęciach w Afryce, a miłość i wiara w Boga krzepiła naszego ducha. Te przeżycia złączyły nas w jedną wielką rodzinę Dzieci Obozów Afrykańskich i zachęciły nas do organizowania co kilka lat spotkań i zjazdów braci afrykańskiej. Osobiście, mam wielkie uznanie i szacunek dla wszystkich przełożonych i wychowawców. Wszystko to, co wartościowego zdobyłam w życiu, im zawdzięczam. Osobom z Czerwonego Krzyża jestem wdzięczna za wielkie zaangażowanie w niesienie nam pomocy, a żołnierzom polskim, za to, że dzielili się swoją skromną porcją z nami. Nasza kierowniczka sierocińca w Afryce, pani Eugenia Grosicka, była jak matka znająca wszystkie troski dzieci. Dla mnie i mojej siostry była matką, opiekunką, od której zaznałyśmy wiele ciepła i troski. Kiedy odeszła moja mama, miałam sześć lat, ale mocno wierzę, że przez całe życie czuwała nad nami. Tatuś dostał się do wojska i odnalazł brata Alfreda. Brat został przyjęty do szkoły Junaków. Cała nasza rodzina wydostała się z nieludzkiej ziemi rosyjskiej.



Afrykańskie domki, w których początkowo mieszkali polskie dzieci podczas II wojny światowej.



Stojące dzieci utworzyły napis: POLSKA



### **Czy ojcu udało się nawiązać kontakt także z Panią i siostrą?**

Tato poszukiwał nas przez Czerwony krzyż i odnalazł mnie i siostrę w Afryce. Po przybyciu do sierocińca w Tangeru otrzymałam od niego list, była to miła wiadomość i prezent na gwiazdkę Bożego Narodzenia 1942 roku. List ten towarzyszył zawsze w naszej wędrownicy, we wszystkich miejscowościach, do których byliśmy transportowani. W każdej z tych miejscowości byliśmy rejestrowani, by poszukujące rodziny mogły się z nami skontaktować i odnaleźć nas.

### **A co wówczas działo się z tatą, gdzie przebywał?**

Tato był w Katyniu, też mógł zginąć tak jak inni oficerowie, ale został wywieziony na półwysep Kola do Murmańska i tam zastała go amnestia. Wówczas tato i inni Polacy tam przebywający, rozpoczęli wędrownicę do tworzących się polskich oddziałów. Tato dowiedział się, że zostaliśmy oddane do sierocińca i szukał nas. Kiedy jechał dołączyć się do wojska, po drodze odłączył się od oddziału i dotarł do miasteczka, w którym był sierociniec. Tam znalazł brata. Zabrał go i razem próbowali znów dołączyć do transportu, który jechał do armii, przez Czerwony Krzyż. Poszukiwał mnie i siostry. W Rosji, Czerwony Krzyż, kontaktował się z rodzinami, a gdy dowiedziano się, że tato nas poszukuje, wysłano za nim gończy z list z informacją, gdzie jesteśmy. Ojciec został powiadomiony o tym, że wyjechałyśmy do Persji. Spotkaliśmy się z tatą dopiero po wojnie w Anglii, w 1948 roku.

Kiedy wojna się skończyła, powstała pustka. Żołnierze nie chcieli wracać do Polski komunistycznej. Szukającym miejsca osiedlenia się, pomocy udzieliła Wielka Brytania. Anglicy pomagali zarówno żołnierzom, jak i ich rodzinom. Kto nie miał zamiaru wracać do Polski, ten znalazł miejsce zamieszkania w Anglii lub miał możliwość wyjazdu do wybranego kraju.

### **Jak ułożyły się losy Pani rodziny w Wielkiej Brytanii?**

Na Wyspy Brytyjskie dotarłam w 1948 roku do Southampton, miałam wówczas 18 lat. Płynęliśmy około 3 tygodni angielskim statkiem. Wtedy już znaleźmy język angielski, bo mieliśmy lekcje w szkole w Afryce.

Tato do Anglii dotarł trochę wcześniej. Był zakwaterowany w likwidacyjnym obozie wojskowym i tam nas skierowano. Niestety, po przyjeździe do Wielkiej Brytanii, tato prawie dwa lata przebywał w szpitalu, a my zostałyśmy znów prawie same. Druga żona ojca została w Rosji i do Polski wróciła dopiero w 1946 roku. Trudno mi opowiadać o emocjonalnym przeżyciu pierwszego po latach

spotkania z tatą. Płynęły łzy radości, że Bóg pozwolił nam znów się spotkać. Nie potrafię tego ująć słowami i zastawiam to dla każdego, kogo zainteresuje przekazana przeze mnie historia. Te przeżycia kształtowały mój charakter i wartości życiowe, które przekazałam swoim dzieciom.

Tato był przeznaczony do pracy w hostelu, gdzie mieszkali górnicy w Ceshire, więc znów nie mógł się nami zajmować. Do Anglii dotarł brat, który ukończył szkołę Junaków w Palestynie i początkowo podjął pracę na statku. Z nim również nie mogliśmy się spotkać bezpośrednio po dotarciu do Wielkiej Brytanii. Jeden z angielskich majorów, który zajmował się likwidacją obozów, zastanawiał się co z nami zrobić, dwiema dziewczętami, przebywającymi tu bez rodziny. Zainteresował się naszym losem. Siostra miała wówczas 15 lat, a ja 18. Major zaproponował mam pracę w angielskich domach. Teresę przyjęła do pracy w swoim domu w Epsom siostra majora, a mnie koleżanka jego siostry. Dzięki temu, choć w innych domach, to nie byłyśmy całkowicie rozdzielone, bo domy były blisko siebie. Pobyt w tych domach wiele nam pomógł, zwłaszcza jeśli chodzi o naukę języka angielskiego. Nie brakowało nam również żywności mimo, że wówczas w Anglii jedzenie było na kartki. W tych domach byłyśmy ponad rok. Bardzo tęskniłyśmy za polskim otoczeniem. Epsom leży blisko Londynu i kiedy miałyśmy dzień wolny, to mogłyśmy gdzieś pojechać. Często jeździłyśmy do Londynu i zatrzymywałyśmy się przy polskim ośrodku „Biały Orzeł”. W Afryce należałam do harcerstwa. Włączyłam się do życia harcerskiego w Londynie i gdy była zbiórka harcerska, brałam dzień wolny, by w niej uczestniczyć. Następnie, wraz z siostrą, przeprowadziłam się do Birmingham. Znalazłyśmy pracę w Polonijnym Domu. W międzyczasie, brat wrócił z pracy na statku i zamieszkał w Londynie. Spotykaliśmy się. Po jakimś czasie Alfred zaoferował nam pomoc w wynajęciu pokoju w Londynie i wróciłyśmy, mieszkaliśmy w dzielnicy Clapham South. W tej dzielnicy Londynu, w polskim kościele, zawarłam sakrament małżeństwa. Kiedy po ślubie wraz z mężem wynajęliśmy dom, zaproponowałam, by siostra zamieszkała z nami i przez pewien czas została u nas. W Anglii przeżyłam dwadzieścia lat. Urodziłam troje dzieci, syna Jurka, córki Wandę i Jadwigę .

### **Jak to się stało, że przeprowadziła się Pani do Kanady?**

Mój mąż, kiedy wrócił z wojny, ukończył w Londynie Uniwersytet Polski, a następnie politechnikę Battersea i został inżynierem. Był wysłany na delegację do Pakistanu, gdzie pojechaliśmy całą rodziną. Byliśmy tam rok. Część ludzi w Pakistanie żyje w sposób, jaki trudno sobie wyobrazić, by tak żyć... Choć jeśli ktoś przeżył czas wojny w Rosji, to już nic go nie raziło. W Pakistanie była wysoka klasa

społeczna, średnia i biedna. Najbiedniejsi ludzie budowali szałas mieszkalne przy ulicy. W tych bardzo prowizorycznych „mieszkaniach” spali i jedli.

Wróciliśmy do Anglii, do naszego domu. Mąż dostał pracę w Kanadzie, ja prawie przez dwa lata zostałam z dziećmi w Anglii, zanim przyjechałam do Kanady wraz z dziećmi w 1968 roku. Mąż mojej siostry Teresy, również otrzymał pracę w Kanadzie. Siostra dotarła do Kanady rok wcześniej niż ja. Brat został w Anglii i tam mieszkał do końca życia. Mój tato wrócił do Polski i zmarł w rodzinnych stronach koło Sieradza.

### **Czy łatwo było zaaklimatyzować się w nowym kraju?**

Przemieszczaliśmy się i dlatego łatwo mi było przyjąć nowy kraj. Nigdy nie żałowałam decyzji związanej z przeprowadzką. W Kanadzie mój mąż zmarł i w 1984 roku ponownie wyszłam za mąż. Mój drugi mąż czynnie udzielał się w organizacjach polonijnych, był dobrym organizatorem. Udzielał się w Kongresie, w Fundacji Reymonta, której był współzałożycielem.

Mam trójkę dzieci - wszystkie mieszkają w Kanadzie. Syn jest najstarszy i najlepiej z rodzeństwa mówi po polsku. Jestem szczęśliwa i dumna, że wychowałam troje dzieci, syna Jurka oraz córki: Jadwigę i Wandę. Cieszę się, że moje dzieci ukończyły studia i zajmują poważne stanowiska państwowe.

Wiele razy podróżowałam do Polski, przede wszystkim często odwiedzałam Skarżysko Kamienną.

Dzisiaj, w podeszłym wieku, widzę moja przeszłość życiową jak przez mgłę... Człowiek może wytrzymać głód, nędzę, choroby, ale tylko wtedy, gdy mocno wierzy w Opatrzność Bożą i pomoc Matki Najświętszej, która czuwa nad nami. Czytelników proszę: przekazcie młodym pokoleniom przeżycia dzieci z sierocińców Afryki, które zostały wyrwane z ziemi rosyjskiej i ziemi polskiej przesiąkniętej krwią.





Delegacja z Polski na Konkurs recytatorski W Reymonta podczas zwiedzania Uniwersytetu Ontario Instytutu Technologii w Oshawie odprowadza profesor. J Bruce Hurley . Aniela Lasek – pierwsza z lewej strony, mąż Stanisław Lasek – ówczesny Kurator Fundacji, pierwszy z prawej strony.



Podczas spotkania opłatkowego w polskim domu im. Mikołaja Kopernika, od lewej strony: s. Bogusława Trus oraz Aniela Lasek wraz z mężem Stanisławem.

Dziękuję za rozmowę

siostra Halina Pieróżak

Misjonarka Chrystusa Króla

dla Polonii Zagranicznej

30. 05. 2021r

Aniela Lasek wyraziła zgodę na publikację ww. wywiadu